

Proces drugi. Prawda

Godzina piąta w Cambridge. Gdzie John Fitzgerald Kennedy pojawia się na chwilę. Falszywa symetria. Homofobia przystoi antyliteraturze. O tym, że literatura prowadzi prosto do Auschwitz. Benda, człowiek poglądów umiarkowanych, który o tym nie wie. Pisarze to tchórze. Adorno. Nadzieje na Nobla dla barona Snowa. W końcu pojawił się Leavis. Trzecia kultura i trzecie królestwo. Arnold i Huxley. Homerycki śmiech pana Renan. Dzieci, które ssą własny kciuk. Czy pan Spock interesuje się literaturą? Geometria i poeci. O Boże, jak nudna jest poezja! Tłumaczenia bez oryginału. Biorę poezję w ramiona, lecz po to, by zdusić. Powrót do Platona. Kiedy poeci atakowali filozofię. Klasyczny ideał człowieka niewykształconego. Filiżanka kawy przeciwko filiżance herbaty. Behawioryzm Homera, Szekspira i kilku innych. Mit szalonego pisarza i nazisty miłośnika literatury. Walki o terytorium.

W przestronnej neoklasycystycznej sali, w której jedyną fantazję stanowi to, że na czarno-białej posadzce snują się przyprowadzające o zawrót głowy żakardy rombów wpuszczonych jedne w drugie, dwa rzędy dziewięciu wysokich okien, umieszczonych naprzeciw osiemnastu okien tego samego rodzaju (dla uproszczenia rachunku pomijamy to, że czasem, z jednej i drugiej strony, któreś z okien jest zastąpione po prostu drewnianymi, trywialnie nieprzejrzystymi drzwiami, ponieważ architekt musiał w końcu uznać, że nawet w Cambridge człowiek nie jest czystym umysłem i że w konsekwencji musi zerwać gdzieś tak świetnie pomyślaną symetrię, by zrobić w jakimś upatrzonym miejscu to, co zwie się potocznie *w e j s c i e m*), w tej przestronnej sali zatem bliźniaczy układ jakichś trzydziestu czterech okien (do których wypada dodać pięć okien w małym boku wschodnim, gdyż zachodni jest ślepy, czyli w sumie trzydzieści dziewięć), krótko mówiąc, dużo okien rozmieszczonych mniej więcej symetrycznie rzuciło na zgromadzenie około czterystu osób ciepłe światło jednego z owych

subtelnych wiosennych popołudni, które pozostają tajemnicą angielskiej wsi – chyba że owego dnia chmury zasnuły niebo i deszcz lał jak z cebra, o czym historia nie wspomina, choć przecież, w tym jakże zielonym zakątku zielonej Anglii, taka ewentualność nie jest niczym nieprawdopodobnym, nawet 7 maja 1959 roku. Wybiła piąta: pora nie na herbatę, lecz, dla pewnego mężczyzny słusznego wzrostu i tuszy, który bez wątpienia nie odmówiłby kilku dodatkowych babczek, na udanie się w kierunku pulpitu umieszczonego na końcu sali, przed wnęką wyłożoną ciemnym drewnem, zwieńczoną dużym frontonem spoczywającym na czterech pilastrach. Za chwilę miał się rozpocząć wykład.

Tyle podniosłej symetrii w tak okazałym wystroju wspaniale pasowało do tematu dnia: „dwie kultury”, jak głosiło zaproszenie – tak jak się mówi *Dwaj Przyjaciele, Dwa Gołąbki*¹ czy *Deux-Sèvres*². Prawdę mówiąc, zapowiedziany temat był dłuższy: *Dwie kultury i rewolucja naukowa*, ale potomność zachowa tylko pierwszą część i pod tym skróconym tytułem ów tekst, wielokrotnie publikowany, obiegił świat i naznaczył, a nawet przy okazji rozpalil umysly. Znów tryumf symetrii, której siła obrazowania sprawia, że zapomina się, jak złożona jest rzeczywistość.

Dwie kultury – a mianowicie kultura literacka i kultura naukowa, które, wedle mówcy, patrzą na siebie jak dwa fajansowe pieski posłusznie stojące po obu stronach kominka, nie mogą się nigdy spotkać. Literaci nie mają pojęcia o drugim prawie termodynamiki, tym abecadle współczesnej fizyki, i, jak snobistyczni ignoranci, mają nawet czelność się tym chlubić; jeśli zaś chodzi o naukowców, to nie czytają oni nigdy literatury, przedkładając nad to proste przyjemności związane z uprawianiem ogrodu lub, gdy jakimś cudem wpadnie im w ręce książka, używają jej jako prostego narzędzia (młotka bądź łopaty, dokładnie nie wiadomo)³. Czy współczesna cywilizacja jest już na zawsze skazana na to rozdarcie pomiędzy dwoma biegunami, których łączność jest niemożliwa? Ależ skąd, twierdzi nasz człowiek. Wręcz przeciwnie,

trzeba, reformując system szkolnictwa, zasypać kulturową przepaść; dostarczyć elitom kompetencji naukowych, których im rozpaczliwie brakuje, pozwolić światu harmonijnie się rozwijać dzięki moralnemu i technologicznemu postępowi zdolnemu zjednoczyć wszystkie narody. Oto z grubsza wspaniałomyślne i humanistyczne credo, niepodważalne mocą swej oczywistości, wygłoszone w Cambridge owego majowego dnia 1959 roku, w ramach prestiżowego cyklu wykładów Rede'owskich, którego pomysłodawcą był, trzy lub cztery wieki wcześniej, nie mniej wspaniałomyślny fundator.

Autor wypowiedzi posiadał wszelkie wymagane kwalifikacje, by ocenić konsekwencje oburzającej przepaści wykopanej między dwiema kulturami: jako chemik z wykształcenia sir Charles Percy Snow rozpoczął karierę naukowca w Cambridge, następnie, podczas drugiej wojny światowej, pracował dla rządu jako konsultant odpowiedzialny za mobilizowanie środowiska naukowego wokół celów wojskowych. Równoległe, dość wcześnie, zaczął wydawać powieści opisujące życie naukowe, które cieszyły się niemałą popularnością. Odgrywając dwójką rolę, z jednej strony kierownika badań naukowych, a z drugiej modnego autora biorącego regularnie udział w debacie publicznej, Snow mógł czuć się upoważniony do autorytatywnego wypowiadania się na podwójny temat swego wykładu, dotyczący rozdźwięku między naukami humanistycznymi a naukami ścisłymi – rozdźwięku, od którego on sam miał być jakoby chlubnym wyjątkiem.

Faktycznie, potrafił w pełni wykorzystać podwójną wiarygodność, która najbardziej trywialny z jego sądów w tej dwoistej materii spowijała nimbem autorytetu. W ciągu kilku miesięcy tekst wykładu publikowano, tłumaczono i komentowano na całej kuli ziemskiej (rzecz ciekawa: z wyjątkiem Francji⁴), jego autora honorowano jako najwyższej rangi myśliciela i wszędzie tryumfalnie przyjmowano, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych; już w 1960 roku Uniwersytet Columbia zalecił obowiązkową lekturę *Dwóch kultur* wszystkim studentom, a przyszły

prezydent John Fitzgerald Kennedy postanowił nawiązywać do nich w swych przemówieniach⁵.

Kiedy dzisiaj czyta się ten tekst, który nie tylko nie wykazuje jakiegokolwiek elegancji stylistycznej – choć jego autor upajał się statusem pisarza – ale jest napisany wręcz prostackim stylem, którego nie rekompensuje ani litania naiwnych frazesów i pretensjonalnych wspomnień osobistych w stylu „Ja, który do was mówię, dobrze znałem pewnego wielkiego fizyka, który mi mówił...”, ani zwłaszcza niezdolność do nadawania ścisłego znaczenia najważniejszym używanym terminom, a przede wszystkim terminowi *k u l t u r a*, który ma u niego tę zadziwiającą właściwość, że zmienia sens ze strony na stronę, to trudno jest zrozumieć zdumiewający rozgłos, jaki zyskała ta wypowiedź, chyba że to właśnie jej banalność przyczyniła się do jej międzynarodowego sukcesu – tak, jakby w pewnym sensie przyszły baron Snow (skoro taki tytuł szlachecki nadała mu później królowa za zasługi, choć nie bardzo chce nam się w to wierzyć, inne niż *Dwie kultury*), zatem tak, jakby potencjalny baron stał się paradoksalnie pierwszym i głównym beneficjentem owej degeneracji kultury, którą starał się tak nieudolnie demaskować.

Tymczasem o tym wykładzie, którego niezasłużona sława pozostawia jeszcze mnóstwo śladów w świecie anglojęzycznym – choć teraz rzadziej mówi się nie tyle o wykładzie jako takim, ile o pewnym historycznym momencie, na który należałoby patrzeć z dystansem⁶ – nie warto byłoby nawet wspominać w książce poświęconej antyliteraturze, gdyby pod jawną krytyką podziału społeczeństwa na dwie kultury nie rozbrzmiewała równocześnie jako kontrapunkt zdradziecka muzyczka dyskursu dążącego do dyskwalifikacji kultury literackiej jako takiej. Czym innym jest bowiem propagowanie – we wspaniałomyślnej filantropijnej wizji – bardziej kompleksowej, bardziej zintegrowanej kultury, która stawiałaby na równi nauki humanistyczne i nauki ścisłe i zapewniałaby każdemu jednakowe możliwości rozwoju w obu tych

intelektualnych sferach, aby stawić czoło współczesnym wyzwaniom. Cel jest chwalebny – być może utopijny, na pewno źle sformułowany, ale z pewnością chwalebny, jak wszelki wysiłek na rzecz podniesienia ogólnego poziomu ludzkiej wiedzy. Inną rzeczą jest wykorzystywanie tej krytyki odizolowania kultur po to, by ukryć w niej jednostronną krytykę niedostatków i szkodnictwa kultury literackiej, i tylko niej – bo w przeciwieństwie do tego, co sugerował pozornie bezstronny tytuł, nie było między tymi dwiema kulturami równości. Podkreślana symetria była równie fałszywa jak ta między oknami uniwersyteckiej sali senatu w Cambridge, gdzie odbył się słynny wykład.

Dwie kultury? Bez wątpienia, lecz jedna jest systematycznie przystrajana wszelkimi cnotami: otwartością, prawdą, bezpretensjonalnością, użytecznością, skutecznością, altruizmem. Chodzi tu o naukę lub o uczonych, nie wiadomo, bo Snow pod nazwą nauki bez skrupułów miesza odrębne rzeczywistości: metodę budowania wiedzy, odpowiadającą mu praktykę społeczną i zawodową, środowisko, w którym ta praktyka się odbywa, jednostki, które do niego przynależą, jak również ich pozazawodowe zwyczaje życiowe – ogólny zamęt, na który najprawdopodobniej, w swoim mniemaniu, może sobie pozwolić, posługując się terminem „kultura”. Jeśli natomiast chodzi o drugą kulturę, to wszystko jest na odwrót: hipokryzja, kłamstwo, snobizm, rozmiłowanie w przeszłości, sztuczność, egocentryzm, a nawet zwykle szkodnictwo – darujmy sobie resztę! Chodzi tu – ależ tak, któż by uwierzył? – o ludzi czytanych, pisarzy, artystów, intelektualistów, o wszystkich, jakich chcecie. Znajdując widoczną przyjemność we wzmacnianiu kontrastów, Snow wydaje się nie znajdować dość ciężkich zarzutów przeciwko kulturze literackiej, którą bez przerwy i bez wytłumaczenia utożsamia z tym, co nazywa „kulturą tradycyjną”⁷, jak gdyby ten termin miał jakiś sens (czy jest to kultura opierająca się na tradycji? kultura dominująca? kultura ludu? elit?). Wbrew temu, co zapowiadał tytuł, wykład jawi się nie tyle jako lament nad brakiem

zrozumienia między tymi dwiema kulturami, ile jako pamflet przeciwko występkom kultury literackiej, rzekomej przyczyny wszystkich bolączek współczesnego świata.

Powie ktoś, że przesadzam. Wcale nie: w rzeczywistości Snow w 1959 roku wycofał się już był częściowo z poglądów wyrażonych w pierwszej wersji, opublikowanej kilka lat wcześniej w „The New Statesman”, lewicowym tygodniku, pod tym samym tytułem. Oceńmy to sami: „Tonacja [kultury nauk ścisłych] jest zdecydowanie heteroseksualna. Pod względem zachowań społecznych różnica między Harwell a Hampstead lub, *mutatis mutandis*, między Los Alamos a Greenwich Village zaskoczyłaby antropologa. W całokształcie kultury nauk ścisłych można stwierdzić – zadziwiający dla kogoś z zewnątrz – brak kociej zręczności i umiejętności mówienia nie wprost. Można nieraz odnieść wrażenie, że naukowcy odczuwają tym większą przyjemność z mówienia prawdy, im bardziej jest ona nieprzyjemna. Klimat osobistych relacji jest osobliwie orzeźwiający, by nie rzec surowy”⁸.

Och, gorąca i surowa męskość relacji między naukowcami! To duża zmiana w stosunku do zniewieściałości literatów i ich kociej chytryści! Kto nie wolałby żyć raczej na pustyni w Nowym Meksyku, w Los Alamos, z tymi nieźle zahartowanymi, prawdziwymi mężczyznami niż ze słabymi ciotami z Greenwich i Hampstead?

Cały talent sir Charlesa, który przysporzył mu tytuły zaszczytów, widać tu jak na dłoni: odrzucenie nadmiernych uogólnień, uwzględnianie miejscowej i społecznej swoistości, subtelna i obiektywna analiza doświadczenia osobistego, szacunek dla bliźniego i wyzbycie się wszelkich uprzedzeń.

Można sobie zadać oczywiście pytanie, jakie to konkretne badanie socjologiczne pozwoliło naszemu intelektualistcie dojść do tak wyważonego postrzegania rzeczywistości. Dwa lata wcześniej, w 1954 roku, genialny brytyjski matematyk Alan Turing, oskarżony o homoseksualizm, popełnił samobójstwo. Bohater drugiej wojny światowej, której alianci być może nie wygraliby bez jego wkładu w złamanie szyfru maszyny Enigma,

s. 80

**Yeats, Pound, Wyndham Lewis, dziewięciu na dziesięciu
pisarzy, którzy zdeterminowali literacką wrażliwość
naszych czasów – czyż w swych poglądach politycznych
nie byli oni nie tylko głupi, ale również niegodziwi?**

Charles Percy Snow

później dopracował, ni mniej, ni więcej, tylko samą zasadę działania komputera i sztucznej inteligencji. A zatem tak, mając o jednego homoseksualistę mniej w swych szeregach, brytyjskie środowisko naukowe mogło się cieszyć z tego, że ocaliło „zdecydowanie heteroseksualną”, dobrą i zdrową atmosferę. Czy nauka miała się z tego powodu lepiej? Snow najwyraźniej nie zadawał sobie takiego pytania: mamy nadzieję, nie za bardzo w to wierząc, że jego odpowiedź byłaby przecząca.

W 1959 roku, w wykładzie w Cambridge, sporny fragment z roku 1956 został, o dziwo, usunięty, podobnie jak ten, w którym pytany o swe lektury, jakiś naukowiec odpowiadał: „Jako mężczyzna żonaty wolę ogrodnictwo”⁹. Nie po prostu: „wolę ogrodnictwo”, ale: „jako mężczyzna żonaty”, co bez wątpienia miało dla Snowa znaczenie. Argument jest jasny: kultura literacka interesuje jedynie homoseksualistów, a sama jest bezpłodna, zboczona, niebezpieczna¹⁰.

W 1959 roku usunięto zatem mniej lub bardziej bezpośrednie homofobiczne napomknienia, w których Snow wykazywał się tą samą cechą „kociej zręczności i umiejętności mówienia nie wprost”, którą tak lubił krytykować w środowisku literackim. Natomiast zagrożenie ze strony literatury jest nie tylko obecne, ale wręcz potężniejsze niż kiedykolwiek. Jest ono – to słowo kluczowe – p o l i t y c z n e: „Pamiętam, jak pewien wybitny naukowiec zasypał mnie kiedyś kłopotliwymi pytaniami: «dlaczego większość pisarzy przyjmuje poglądy społeczne, które uważano by za jawnie barbarzyńskie i anachroniczne już w czasach Plantagenetów? Czy nie stosuje się to do większości słynnych pisarzy dwudziestowiecznych? Yeats, Pound, Wyndham Lewis, dziewięciu na dziesięciu pisarzy, którzy zdeterminowali literacką wrażliwość naszych czasów – czyż w swych poglądach politycznych nie byli oni nie tylko głupi, ale również niegodziwi?»”.

Wówczas pojawia się pytanie zasadnicze, horrendalne, absurdalne: „Czy wpływ wszystkiego tego, co sobą reprezentowali, nie przybliżył nas do Oświęcimia?”¹¹.